

"RYCERZ OGNISTEGO PIEPRZU"

Fr. Beaumonta i J. Fletchera

JAKKOLWIEK chcieliśmy oceniać poszczególne pozycje repertuarowe, koficzącego się obecnie sezonu w teatrach śląsko-dąbrowskich, nie sposób zaprzeczyć, że ogólny dorobek tego sezonu stał pod znakiem ambitnych poszukiwań — poszukiwań często więcej, czasami mniej udanych, ale zawsze śmiałych i twórczych.



Nie popełnia błędów tylko ten, kto nie robi nic.

Teatry śląsko-dąbrowskie są placówką pracowitą. Stąd też może się zdarzyć, że w ich linii repertuarowej jakiś eksperyment zawiedzie oczekiwania publiczności wychowanej na „Bulyczowie”, „Uczniu diabła” i innych pozycjach scenicznych, które utrwaliły wysoką markę śląskiego teatru.

Do przedstawień, które wypadają ocenić krytycznie, zalicza się ostatnio wystawiona sztuka Beaumonta i Fletchera — „Rycerz ognistego pieprzu”.

Prapremiera tej burleski elżbietańskiej miała być próbą nawiązania do bogatych tradycji teatralnych epoki, która zrodziła największego dramaturga czasów nowożytnych — Williama Szekspira.

Beaumont i Fletcher — są autorami licznych sztuk napisanych na przełomie XVI i XVII wieku, które cieszyły się wielkim uznaniem ówczesnej publiczności angielskiej. Współczesni Szekspirowi — nie osiągnęli oni jednak tej dojrzałej pełni arty-

stycznej i filozoficznej, która sprawia, że komedie i dramaty wielkiego twórcy „Hamleta” pozostają po dzień dzisiejszy wartością trwałą i atrakcyjną.

Jednak i w utworach Beaumonta-Fletchera przegląda się choć powierzchownie ciekawe oblicze najbardziej dynamicznej epoki, jaką znają dzieje Anglii — epoki powstawania imperium brytyjskiego, naznaczonej stygmatem wielkich przemian społecznych i kulturalnych wewnątrz wyspiarskiego kraju.

„Rycerz ognistego pieprzu”, klasyczna komedio-farsa elżbietańska, pozbawiona jakichkolwiek głębszych tendencji, jest ściśle tym, czym chcieli ją widzieć jej autorowie — żartem scenicznym, obliczonym na wywoływanie niefrasobliwego śmiechu.

Sztuka jest rodzajem pamfletu na ówczesny teatr angielski i jego publiczność. Na scenie oglądamy jednocześnie: aktorów anno domini 1613, grających jakąś modną podówczas komedyjkę miłosną; publiczność — w osobach zabawnej pary mieszczuchów londyńskich, którzy wtrącają co chwila swoje „trzy grosze” do scenicznej intrygi, usiłując zmienić jej bieg wedle własnych mieszczęskich gustów i wreszcie — grupkę szlachty angielskiej, która przychodziła z nudów do budy „komedianów”, aby popatrzeć czym żyje teatralna gawiedź.

„Rycerza ognistego pieprzu”, panowie Beaumont i Fletcher z pewnością nie pisali z myślą o potomności. Dlatego pewnie, naiwne poczynania kupieckiego terminatora — Ralfa, który na rozkaz pryncypała i jego połowicy płacze się po scenie, udając Don Kichofa spod znaku tuteckiego pieprzu, nie mogą wywołać i nie wywołują wesołości u współczesnego widza. Komedie sprzed z górą trzystu lat przestała być tym, czym była ongiś — nie bawi a wprost nudzi nie-

skończoną niewybrednością nalnych sytuacji. Można się również śmiać, że tak powiem „w perspektywie historycznej” (tak śmiejemy się na Szekspirze i Molièrze), ale tu doprawdy nie potrafimy. „Pieprz” zwietrział bez



apelacyjnie i nic na to nie poradzi ani widz, ani aktorzy, którzy od początku do końca stoją na straconych placówkach.

Nie posiadając koniecznych dla współczesnej publiczności walorów rozrywkowych, sztuka zachowuje jednak niewątpliwie wartość dokumentu pewnej ciekawej i brzemiennej w konsekwencje epoki kulturalnej. Jest ona żywym fragmentem dzieł teatru, w jego najbardziej bujnej i rozkwitłej formie rozwojowej.

Ten fakt sprawia, iż po obejrzeniu przedstawienia nie wypada mówić o „straconym czasie” — co najwyżej o straconej okazji do śniechu...

Utwór pisarzy angielskich przetłumaczyła Krystyna Berwińska-Gogolewska, która jest jednocześnie reżyserką przedstawienia. O ile przekład należy uznać za bardzo udany, o tyle adaptacja i reżyseria wykazują dość wyraźne usterki.

Sztuka wedle słów samej Gogolewskiej „ma trzy warstwy zasadniczo różne stylowo: komedię romantyczną graną na scenie jednego z teatrów elżbietańskich, bufonady Ralfa i, interwencję uroczej pary mieszczuchów — przedstawicielką elżbietańskiej widowni”.

Otóż właśnie jeśli chodzi o te trzy „warstwy” — trzeba powiedzieć, że nie odznaczają się one przed oczami widza dość wyraźnie. Ani rozwiązanie architektoniczne wnętrza sceny (M. Elle), ani co gorsza — interpretacja aktorska poszczególnych grup występujących postaci, nie tłumaczyły należyście jasno intencji utworu. Często zapominało się, że to co dzieje się na scenie, ma rozgrywać się w trzech różnych planach: (scena i widownia elżbietańskiego teatryku oraz jego kulisy, po których buszuje Ralf i spacerują „lordowie”).

Na uwagę zasługuje natomiast przyjemna oprawa kostiumowa według projektu Janiny Iphorskiej oraz muzyka Zbigniewa Turskiego.

Jeśli chodzi o stronę aktorską, to poziom poszczególnych kreacji zależał tym razem niemal wyłącznie od rysunku, jaki nadal po staciom autorowie. Można mówić nie tyle o lepszej czy gorszej grze aktorów, ile raczej o lepszych lub gorszych rolach stworzonych przez angielskich pisarzy. Te najlepsze role to: kupiec (B. Roślan) i kupcowa (H. Cieszkowska), Pankracy (J. Krasicki), Onufry Frasza (M. Jastrzębski) oraz Laurenty Stypa (W. Brochwic).

W sumie — przedstawienie przygotowane z myślą o czerwcowych upałach, mając wnieść do repertuaru tak pożądanym elementem niefrasobliwego humoru, nie spełnia swych zadań w tym stopniu, co zeszłoroczny „Słomkowy kapelusz”. Tam śmiało się naprawdę szczerze, mimo iż komedyjka Labiche'a też porządnie traciła myszką...